

PROLOG

Nie potrafię powiedzieć, jak długo stoję w tym miejscu, wpatrując się w martwe ciało, które leży przede mną w nienaturalnym skrucie, z jedną ręką rozrzuconą w błocie, jakby próbował się bronić, a drugą zaciśniętą na niczym – może na oddechu, którego już nie było.

Noc oplata mnie chłodem i wilgocią, gęstą jak dym unoszący się z przegniłych szczątków pobliskiej stodoły, a zapach krwi miesza się z błotem i z kurzem, którego nie da się zetrzeć ani z dłoni, ani z pamięci, nawet jeśli ta została starta niemal do zera.

Nie wiem, kim był.

Nie pamiętam, jak się nazywał, ani czy spojrzał mi w oczy w tej jednej, ostatniej chwili, ale wiem, że należał do niego, był jednym z ludzi Rhysa, a to wystarczyło.

Nie zabijam dla przyjemności.

Nie dla satysfakcji.

Zabijam dlatego, że to jedyne, co jeszcze wydaje się mieć jakikolwiek sens, jedyne, co zostawia po sobie coś więcej niż pustkę, która codziennie budzi się razem ze mną i kładzie się do snu dokładnie tam, gdzie powinny znajdować się wspomnienia.

Nie pamiętam zbyt wiele, a może nie pamiętam nic, tylko tyle, ile moje ciało zdołało zapisać we własnych reakcjach – jak puls przyspieszający na dźwięk jej głosu w snach, jak skurcz żołądka na dźwięk imienia, które nie brzmi już jak moje, jak bezwiedne zaciskanie palców na broni, gdy tylko widzę sygnet obsydianowy na czyimś palcu. To wszystko, a reszta jest ciszą, która boli.

Czasami widzę ją.

Nie wyraźnie, nie tak, jakbym mógł ją narysować, gdyby ktoś kazał mi to zrobić, ale jej oczy są jak wypalone ślady na mojej świadomości, zakotwiczone głębiej niż cokolwiek, co zdołał wymazać Rhys. Kiedy odchodzę z kolejnego miejsca, zostawiając za sobą zwłoki, mam wrażenie, że jej obraz w mojej głowie zaczyna się rozmazywać, jakby moja zemsta była ceną, jaką płacę za nią.

Pochylam się nad ciałem, wyciągam sygnet z jego dłoni – ciężki, chłodny, jeszcze ciepły od jego skóry – i chowam go do wewnętrznej kieszeni kurtki, obok trzech innych, identycznych.

Każdy z nich to dowód, że jeszcze oddycham. Że idę w jego stronę. Że zbliżam się do niego, choćby po omacku, przez krwawe ślady, jakie zostawiam po sobie.

Rhys zabrał mi wszystko.

Wiem to na pewno, choć nie potrafię jeszcze zrekonstruować, co dokładnie oznacza to „wszystko”, ale czuję w kościach, w każdej błyskawicznie wybudzonej nocy, w każdej sekundzie bezsenności i paranoi, że to on zniszczył mnie do fundamentów, że to jego dłonie były ostatnimi, które mnie trzymały, zanim zrzuściły w pustkę.

Czasem myślę, że nie chodzi już o pamięć. Że zemsta nie ma być drogą powrotu do przeszłości, tylko jedyną możliwą przyszłością. Że nawet jeśli nie uda mi się odzyskać siebie – odzyskam jego. Zanim go zabiję, sprawię, że przypomni sobie dokładnie, co mi zrobił.

Nie będzie wyroku. Nie będzie sprawiedliwości.

Będzie tylko krew – jego krew.

I moje milczenie, które będzie jedynym, co pozostanie. A jeśli gdzieś tam, po drugiej stronie tej krwawej ścieżki, naprawdę czeka na mnie ktoś, kto kiedyś wypowiadał moje imię z czułością – to niech to będzie pierwszy krok, by znów zasłużyć na jej głos.

Bo ja nie jestem już Coltonem. Jestem tym, co z niego zostało.

Jestem tylko Cieniem.

I nie pójdę dalej, dopóki Rhys oddycha.

ROZDZIAŁ 1

Nie jestem pewna, co w nim bardziej mnie irytuje – drżący głos, którym próbuje ukryć strach pod tonem wyuczonych odpowiedzi, czy może fakt, że patrzy mi prosto w oczy, jakby naprawdę wierzył, że coś jeszcze może uratować mu życie.

Ma może dwadzieścia parę lat, ręce poplamione nie tylko błotem, ale i cudzą krwią, a twarz, choć młoda, już zniekształcona przez ten specyficzny rodzaj lojalności, który nie zna konsekwencji.

Siedzi na starym krześle w piwnicy jednego z opuszczonych domów, które nasi ludzie zabezpieczyli jeszcze przed moją oficjalną koronacją. Wokół unosi się zapach rdzy, wilgoci i czegoś jeszcze – może spalenizny, może paniki. Nie pytam, bo wiem, że to ja przyniosłam tu ten zapach.

– Powiedz mi – mówię spokojnie, głosem, który brzmi, jakbym właśnie wróciła z opery, nie z przesłuchania – jak długo pracujesz dla Rhysa?

Mężczyzna milczy, ale jego oddech przyspiesza. Nie dlatego, że chce mnie zlekceważyć, on prostu wie, że każda odpowiedź będzie błędna, bo w moich oczach żadna nie ma znaczenia. Nie pytam po to, by wiedzieć. Pytam, by dać mu szansę zabrznieć ludzko, zanim zdecyduję, ile jeszcze z niego zostanie.

– Nic nie powiesz? – Nachylam się lekko, z uśmiechem, który dawno już przestał być tylko maską. – Dziwne. Wszyscy oni tacy sami. Twardzi, dopóki nie poczują ostrza na skórze, a potem mięknią szybciej niż ciepłe masło. I myślisz, że akurat ty będziesz wyjątkiem?

W jego oczach pojawia się coś, co przypomina ulgę – chyba wreszcie zrozumiał, że nie zadaję tych pytań, bo chcę się dowiedzieć, tylko dlatego, że lubię mówić. Lubię patrzeć, jak brudna prawda wycieka z ust ludzi, którzy wierzyli w cudzą ideologię bardziej niż we własne życie.

– Wysłał cię tu, prawda? – pytam, choć znam odpowiedź. – Miałaś mnie obserwować. Może coś zarejestrować. Może przekazać mu, gdzie jestem. Tylko że popełniłeś błąd, koleżko, bo ja już nie jestem tą dziewczyną, która kiedyś dała mu się mamici. Teraz jestem jego pieprzonym końcem.

Pięć minut później mężczyzna leży z otwartymi oczami na zimnej podłodze, a ja wycieram rękawiczkę z krwi, która spływała mi między palcami.

Nie czuję satysfakcji. W zasadzie to nie czuję w ogóle nic, poza zmęczeniem – nie fizycznym, ale tym, które osiada w środku i nie znika, nawet gdy jestem otoczona przez własnych ludzi i ściany lojalności, które kiedyś miały znaczenie.

Telefon wibruje w kieszeni, a ja odbieram, zanim jeszcze zdążę spojrzeć na ekran.

Nie muszę, ponieważ wiem, kto to.

– Mów – rzucam, idąc w stronę wyjścia, gdzie czeka na mnie czyste powietrze i noc, która znów pachnie wojną.

– Victoria – Głos Tralisa brzmi cicho, ale nie miętko. To mężczyzna, który widział więcej, niż powinien, i który nadal trzyma się tej głupiej idei, że lojalność może przetrwać wszystko. – Dotarłem do zachodniego pasa. Las i stara stacja transportowa. On tam był.

Zatrzymuję się w pół kroku.

– I? – pytam na wydechu.

– Pięć ciał. Wszyscy z jego listy – wzdycha. – Nie zostawił nic oprócz znaków, ale jeden z nich... miał przy sobie nóż. Ten sam, który kiedyś należał do jego ojca.

Milczę, ponieważ po prostu boję się odpowiedzi.

– Travis – mówię w końcu, cicho, ale z tą nutą, której nie można pomylić z niczym innym. – Czy widziałeś go?

– Nie, ale widziałem coś, co zostawił na ścianie, w sumie to tylko dwa słowa. „Jeszcze nie”.

Zaciskam powieki.

To brzmi jak on. Jak mój Colton sprzed wojny, który zawsze robił wszystko po swojemu. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego przez tyle miesięcy nie pozwala nam się odnaleźć.

– Musimy go znaleźć, Travis – szepczę, prawie wbrew sobie. – Zanim zrobi to, co zamierza. Zanim przestanie być tym, kim był i już nie będzie do kogo wracać.

Rozłączam się i zostaję sama w środku nocy, która pachnie śmiercią. Pełna obietnic, których nikt nie złożył na głos, ale które i tak będą spełnione. Zakładam płaszcz i wkładam sygnet na palec. Następnie wyciągam nóż i chowam go do kabury pod żebrem, bo dziś nie jestem kobietą, która kochała. Dziś jestem kobietą, która będzie ostatnia, jeśli wszyscy inni upadną.

Princeps Kręgu.

Rzeźnik z własnego wyboru.

I twarz prawa, które zna tylko jeden wyrok.

Prawo krwi.

Kiedy wracam do rezydencji, zapada już noc, choć mrok w Kręgu nie zna pór dnia – unosi się wszędzie, między cieniami żyrandoli, w marmurze schodów, w lustrzanych powierzchniach wind, które zamiast odbicia dają tylko przypomnienie, że każda władza kosztuje.

Zdejmuję płaszcz, zostawiając go na poręczy, choć wiem, że ktoś za chwilę go zabierze – tu wszystko znika szybko, znikają ciała, ślady krwi, emocje, których nie wypada pokazywać, ale zmęczenie zostaje.

Wchodzę po schodach powoli, jakbym odkładała nieuniknione. W gabinecie, w którym wszystko wygląda tak samo jak zostawiłam. Mapa. Puste krzesło naprzeciwko mojego. I to echo – natrętne, uporczywe, obrzydliwie wierne. Echo milczenia, w którym powinien brzmieć śmiech Charlotty.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka bez światła. Nie potrzebuję go, ponieważ znam ten pokój lepiej niż własną kieszeń. Na ścianie wisi mapa – najnowsza wersja, z zaznaczonymi miejscami, w których ktoś rzekomo widział moją siostrę. Kiedy podchodzę bliżej, widzę tylko puste znaczniki. Żółte. Czerwone. Wypłowiałe. I żadnego tropu, który dawałby mi coś więcej niż statystykę porażki.

Charlotte ma zaledwie siedemnaście lat. Za młoda na wojnę, zbyt bystra, by jej nie rozumieć, i zbyt naiwna, by wierzyć, że świat nie chce jej wykorzystać.

Rhys zabrał ją z zimną precyzją, tak jak robi wszystko – w białych rękawiczkach, z uśmiechem na ustach i nożem przy sercu. Mam wrażenie, że odebrał mi nie tylko siostrę, ale ostatni kawałek człowieczeństwa, który jeszcze mnie trzymał.

Stoję przy mapie, a ręka opiera się na krawędzi stołu, jakby to mogło powstrzymać mnie przed zapadnięciem się w środek własnego gniewu. Zamykam oczy, ale to nic nie zmienia, bo Colton też zniknął. Nie tak dramatycznie jak ona – nie został porwany, nie krzyczał – po prostu... odszedł z głową pełną niepamięci i oczami, które przestały mnie rozpoznawać.

Najgorsze w tym wszystkim nie było to, że zapomniał, kim jestem. Najgorsze było to, że zapomniał, kim był dla siebie samego i że w tej pustce – tej okrutnej, milczącej przestrzeni – znalazł cel.

Rhysa.

A ja? Zostałam z mapą pełną znaków zapytania, z łóżkiem, które nie pachnie już jego skórą, z ciszą, którą nawet muzyka nie potrafi zagłuszyć. I z obowiązkiem – rolą princepsa, która coraz bardziej przypomina koronę wykutą z żelaza i poczucia winy.

Gdy godzinę później wchodzę na salę narad, Starszyzna już czeka. Nie boję się ich już od dawna. Sześć miesięcy wystarczyło, by każdy z nich zrozumiał, że nie jestem córką mojego ojca i że nie przyszedłem tu kontynuować schedy.

– Wilsonówna – mówi dominus Enoch, ten od zawsze najgłośniejszy. – Mówią, że znowu zabiłaś bez zgody Rady.

Siadam powoli w milczeniu, które przerywa tylko skrzypienie skóry pod moim ciężarem.

– Mówią też – ciągnie – że ślad twojej siostry kończy się w martwej strefie Zachodu, a to już nie nasza jurysdykcja. Nie jesteśmy twoim wojskiem, Princepsie.

Odwracam głowę bez pośpiechu i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie jesteście moim wojskiem, dominusie. Jesteście resztką systemu, który pozwolił Rhysowi urosnąć w siłę, zanim zaczął mordować własnych ludzi, więc jeśli macie problem z moimi metodami, możecie zawsze podać się do dymisji.

W sali zapada cisza. Nie boję się mnie fizycznie – nigdy nie o to chodziło. Oni boją się, że mam rację, a to przeraża ich bardziej niż cios.

– Victorio – odzywa się dominus Arlen, starszy, wyważony, z twarzą jak stara rzeźba z popękanego granitu. – Wiemy, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, ale jesteśmy na granicy wojny. Rhys rozciąga władzę poza zachodnią linię, przejmuje stare tunele i posterunki informacyjne. Jeśli jego sieć się zamknie, odetnie nam północne dostawy. I to nie ty zapłacisz za ten chaos. Zapłacą zwykli ludzie.

– Nie jestem ślepa – odpowiadam spokojnie. – I nie jestem głucha na wasze ostrzeżenia, ale przestańcie traktować mnie jak dziewczynę z dobrego domu, która dostała pierścień za nazwisko. Wygrałam Comitię. Wygrałam krwią i rozumem, i nie zamierzam teraz siedzieć cicho tylko dlatego, że wasze ręce drżą bardziej niż moje.

Zbieram spojrzenia jak strzały – nie wszystkie wrogie, ale wszystkie czujne.

– Potrzebujemy planu – rzuca Alura, jedyna kobieta w Star-szyźnie, a przy tym ta, którą szanuję najbardziej. – Trójkąt Zachodu jest już w rękach Łowcy. Jeśli nie zabezpieczymy północnych punktów, nasze kanały transportowe padną. Potrzebujemy ludzi i potrzebujemy ich szybko.

Pochyliam się nad stołem i przesuwam palcami po cyfrowej mapie, aktywując strefy. Podświetlają się kolejne sektory – niebieskie, czerwone, żółte. Wszystkie pulsują jak żywe rany.

– Przekierujemy jednostki z linii Kharad i granicy północnej – mówię. – Niech Eiden i jego ludzie zajmą się sektorem 12-5. Tam Rhys ma lukę. Przerzucimy drony obserwacyjne w okolice północnych wzgórz, tam, gdzie ostatnio zniknął patrol Trava.

– A twoja siostra? – rzuca cicho Arlen. – Zachód to nie nasza strefa, Victorio. Jeśli się tam zapuścisz...

– Już się zapuściłam i zrobię to znowu, jeśli będzie trzeba. Charlotte to nie tylko Wilsonówna. To moja siostra i nie pozwolę, żeby ktoś użył jej jako karty przetargowej, bo was paraliżuje strach przed ruchem, który wy sami stworzyliście.

Nikt się nie odzywa. Daję im sekundę. Dwie. Potem wstaję, cicho, jakbym to ja kończyła obrady, nie oni.

– Zatwierdzicie ten plan. Zmobilizujecie oddziały, a jeśli nie, to wiedźcie, że i tak go wykonam – kończę zdanie dobitnie.

Ja nie pytam o pozwolenie. Nie po tym, co Rhys mi zabrał.

Zostawiam ich z mapą, szklanym stołem i własnym sumieniem. Wychodzę bez pożegnania, bo nie przyszłam tu być grzeczna, przyszłam, aby wygrać.

Kiedy wychodzę z sali, słońce już wschodzi, ale ja nie widzę światła. Widzę tylko cień. Cień siostry, którą muszę odnaleźć. Cień mężczyzny, którego kocham, choć on już nie pamięta, jak się uśmiechał, gdy wypowiadał moje imię. Cień siebie sprzed tego wszystkiego.

I wiem jedno. Jeszcze nie teraz, ale wkrótce.

Będzie wojna. I wygra ją ten, kto pamięta, po co przyszedł.

Gdzie jesteś Colton? Potrzebuję Cię...

Jadę TAM, zanim jeszcze miasto na dobre się obudzi. Poranek jest chłodny, mglisty, to ten rodzaj szarości, który nie niesie ze sobą niczego obiecującego, tylko daje złudzenie, że jeszcze można coś ukryć – przed sobą, przed światem, przed wspomnieniem, które nie przestaje krążyć pod skórą jak echo czegoś, co nie zdarzyło się do końca. W rezydencji nikt mnie nie zatrzymuje. Nie pytają, dokąd jadę, ponieważ już wiedzą, że są granice, których nie przekracza się nawet z lojalności.

Prowadzę sama, bez eskorty, bez śledzenia. Jest zbyt wcześnie, by ktoś pomyślał, że princeps może po prostu... zniknąć na kilka godzin. Droga do lasu nie zmieniła się od miesięcy. Tylko drzewa urosły, albo to ja stałam się mniejsza.

Zatrzymuję się na tym samym rozwidleniu, gdzie kiedyś – jeszcze zanim świat rozpadł się na krwawe decyzje – Colton trzymał mnie za rękę i tłumaczył, jak wyczuć ruch pod skórą przeciwnika. Pamiętam, że wtedy pachniał dymem i czymś słodkim – nie perfumami, raczej zapachem ogniska i wilgoci, którą tylko las potrafi zostawić na skórze. Pamiętam jego głos, nie dlatego, że był głośny. Wręcz przeciwnie, Colton szeptał tak, jakby każde słowo było sekretem, który warto było zapamiętać.

Siadam na powalonym pniu, tym samym, który służył mu kiedyś jako prowizoryczna ławka. Dotykam dłonią jego powierzchni – szorstkiej, wilgotnej, porośniętej mchem – i przez moment mam wrażenie, że jeśli zamknę oczy, to usłyszę jego śmiech, ten krótki, urwany, który pojawiał się, gdy próbowałam być mądrzejsza od niego, a nie wychodziło mi to nawet w połowie tak dobrze, jak sądziłam.

Tu uczył mnie, jak przegrywać bez utraty godności i bez złamanej dumy. Tylko z tym spokojem, który mówił: „Jeszcze nie teraz, ale nauczysz się”.

Nauczyłam się wszystkiego. Walki, strategii, panowania nad ciałem i oddechem.

Tylko nie tego, jak żyć, kiedy ktoś, kogo kochasz, patrzy na ciebie jak na obcą, bo kiedy widziałam go ostatni raz, jego oczy były puste. Nie dlatego, że był okrutny, tylko dlatego, że już mnie nie pamiętał.

Kładę dłoń na ziemi. Zamykam oczy i po prostu oddycham. Nie modlę się, bo nie mam do kogo, ale czasem, w takich chwilach jak ta, wyobrażam sobie, że on mnie słyszy.

Że gdzieś, pośród drzew, pośród cieni, które nauczył się nosić jak skórę, Colton zatrzymuje się na chwilę i czuje coś więcej niż głód zemsty. Czuję mnie i wraca – może nie w całości, ale w odruchu, w tchnieniu, w impulsie, który przypomina mu, że kiedyś tu był.

Kiedy już mam wracać, ekran telefonu rozświecila się nagle – w tej konkretnej sekundzie ciszy, kiedy wszystko w lesie zdaje się wstrzymać oddech. Imię na wyświetlaczu nie wymaga interpretacji. *Ojciec*.

Przez chwilę po prostu patrzę. Nie dlatego, że nie wiem, co powiedzieć. Po prostu... chcę mieć tę sekundę, zanim znów wrócę do świata, w którym rozmowa z własnym ojcem przypomina odprawę wojenną. Odbieram.

– Tak? – Głos mam spokojny, choć od razu czuję, że to nie będzie rozmowa, którą można zignorować.

– Victoria. – Jego ton jest formalny, ale nie zimny. – Potrzebuję kilku minut prywatnie. Spotkajmy się dziś, jeszcze przed kolejnym wyjazdem. Bez doradców, bez świadków.

Marszczę brwi, przesuwając wzrokiem po miejscu, w którym kiedyś Colton obrzucał mnie szyszkami, udając, że to część treningu zręcznościowego. To miejsce znało moje sekrety, a ojciec znał tylko decyzje.

– Gdzie? – pytam, bo wiem, że jeśli dzwoni, to nie po to, by zapytać, czy jem regularnie.

– Mój gabinet. Za pół godziny.

Zanim zdążę się zgodzić lub odmówić, połączenie zostaje zakończone. Typowe. Zawsze był mistrzem komunikatów bez negocjacji.

Jadę do niego w milczeniu, z tą dziwną mieszanką adrenaliny i tłumionej frustracji, która towarzyszy mi zawsze, gdy wchodzę w jego przestrzeń – piękną, minimalistyczną, pełną porządku, którego nie da się zburzyć nawet wybuchem. Gabinet Wilsona seniora pachnie drewnem, starym atramentem i wspomnieniem dawnych zwycięstw, ale dziś, kiedy wchodzę, to ja jestem jedynym zwycięstwem, którego nie potrafił przewidzieć.

– Wyglądasz, jakbyś nie spała – mówi, nawet nie podnosząc wzroku znad szkła z ciemnym alkoholem. – I jakbyś zabiła kogoś zbyt szybko.

Zamykam drzwi za sobą i stoję przy oknie, nie siadam.

– Spałam wystarczająco, by być w stanie rozpoznać zagrożenie, a co do drugiego... nie było zbyt szybko. Było dokładnie tak, jak trzeba.

Christopher wreszcie podnosi na mnie spojrzenie. Jest tam coś pomiędzy dumą a lękiem – ten rodzaj mieszanki, który zna tylko ojciec, który wychował córkę na księżniczkę, a teraz widzi, że stworzył królową.

– Victoria, nie jesteśmy tu, aby rozmawiać o trupach – mówi, podchodząc do barku i dolewając sobie whisky. – Przyszliśmy rozmawiać o tym, że z każdym kolejnym ruchem coraz bardziej odcinasz się od struktury, która cię ukształtowała. Nie można prowadzić wojny, jeśli nikt nie zna twojego planu, a jeszcze trudniej wygrać, jeśli twoje decyzje opierają się na... emocjach.

Zaciskam szczękę.

– Mówisz o Charlotte – rzucam w końcu, nie pytając. – Przypominam, że to również twoja córka.

– Mówię o tym, że przestajesz widzieć granice – odpowiada. – Mówię o tym, że potrzebujesz sojuszy, a nie rozliczeń. Potrzebujesz Kręgu, zanim zostaniesz władczynią bez królestwa.

– A może właśnie potrzebuję stracić królestwo, żeby zacząć walczyć jak człowiek, nie jak symbol – mówię cicho, ale z taką siłą, że ojciec zawiesza dłoń nad szkłem. – Może potrzebuję zaryzykować wszystko, bo Rhys już dawno przestał grać według zasad.

– A Colton? – Jego głos nagle mięknie. – On też jest częścią tej wojny? Bo jeśli tak, to musisz wiedzieć jedno. Jeśli go nie znajdziesz, jeśli on dotrze do Rhysa pierwszy... Już go nie odzyskasz. Nigdy.

Odwracam się do niego nie jako córka. Nie jako princeps, tylko jako kobieta, która wie, że ma tylko jeden strzał, by uratować wszystko, co jeszcze z niej zostało.

– Wiem, ojcze, i dlatego pozwól mi działać tak, jak potrafię, bo jeśli zacznę walczyć jak ty, będziemy kopać dwa groby.

ROZDZIAŁ 2

Powietrze jest cięższe, gdy przekraczam granicę starego Zachodu. Nie dlatego, że zmienia się krajobraz. Drzewa wyglądają tak samo, mech przykleja się do butów tak samo uparcie, a ziemia pachnie mokrym liściem i czymś jeszcze, czymś, czego nie potrafię nazwać, ale co zawsze przypomina mi jego, jakby wspomnienie Coltona przesiąkło te lasy tak mocno, że nawet czas nie był w stanie go wyprać. Nie chodzi o widok, chodzi o pamięć, i o to, że miejsce, do którego wracam, nie należy już do niego, a ja, choć nadal próbuję udawać, że jestem princepsem, nie wiem, czy mam prawo je odzyskać.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – pyta Travis, idąc pół kroku za mną. – Rhys przejął to terytorium jak swój własny plac zabaw. Jeżeli zostawił tu ślady, to tylko takie, które sam chce, żebyś znalazła.

Nie odpowiadam od razu. Zatrzymuję się przy rozwalonym ogrodzeniu, kiedyś chroniącym dawny punkt obserwacyjny, teraz zapadniętym pod własnym ciężarem, porośniętym pajęczynami i rdzą, jakby ten teren od zawsze był opuszczony, jakby historia została z niego wypalona i wessana w ziemię. Kładę dłoń na jednej z belek. Chropowata powierzchnia pod palcami wydaje się bardziej żywa niż wszystko, co ostatnio mnie otacza.

– Tu nie chodzi o pomysł – mówię cicho. – Tu chodzi o obowiązek. O rodzinę. O coś, co kiedyś było domem.

Colton znał ten teren jak własne ciało. Jeśli Charlotta tu była, on o tym wiedział. I jeśli coś się jej stało, to... nie mogę pozwolić, żeby to miejsce umarło razem z nim.

Przechodzimy jeszcze kilkaset metrów w głąb, w milczeniu, które między mną a Travisem nie jest nieporozumieniem – raczej zaufaniem, że nie trzeba wszystkiego wypowiadać na głos. On zna mnie lepiej niż większość. Nie dlatego, że mu pozwalam, ale dlatego, że zbyt długo był cieniem Coltona, by nie nauczyć się czytać mnie między gestami.

W końcu zatrzymuje się i wskazuje dłonią porośnięty mchem schron, częściowo zapadnięty w ziemię, z fragmentami metalu wystającymi spod runa leśnego. Tu kiedyś mieściła się baza komunikacyjna.

– To tutaj – mówi. – Miejsce, z którego Rhys nie powinien mieć dostępu do niczego, a jednak dostał się tu bez oporu. Bez jednego wystrzału, tak jakby... ktoś otworzył mu drzwi od środka.

Zamieram.

– Sugerujesz zdradę?

– Sugeruję, że albo ktoś przeżył, kto nie powinien, albo Rhys ma w rękach więcej, niż przypuszczaliśmy.

Wchodzę do środka powoli, niemal ostrożnie, jakby duchy dawnych rozmów mogły obudzić się na mój krok. Tu jest zimniej niż na zewnątrz, a kurz, który unosi się w powietrzu, pachnie starą technologią, rdzą i krwią, bo jest też krew. Na ścianie, rozmazana, jakby ktoś próbował z niej coś napisać, ale zabrakło mu czasu albo sił.

Podchodzę bliżej. W kącie leży coś, co przypomina notatnik. Nie dotykam go od razu – najpierw patrzę, z dystansu, jakbym próbowała ocenić, czy to pułapka. Potem sięgam i otwieram ostrożnie.

Pierwsze strony puste. Dopiero po kilku przewróconych kartkach widzę to. Nie datę ani nie podpis. Tylko dwa zdania zapisane moim charakterem pisma, tak znajomym, że przez moment czuję, jak moje serce zatrzymuje się w miejscu.

Jeśli mnie znajdziesz, nie trać czasu na pytania. Po prostu mnie zabierz.

Travis stoi za mną, nie oddycha głośno. Szanuje ciszę, ale ja już wiem, że to wiadomość. Nie tylko od niej, tylko to wiadomość przede wszystkim od Rhysa. Zagrana dokładnie tak, jak on lubi – subtelna, osobista, podszyta emocją, której nie można zignorować.

Wychodzę ze schronu z notatnikiem w dłoni, tak mocno zaciśniętym, że rogi już dawno się zagięły.

– Jedziemy? – pyta Travis. Nie musi więcej mówić.

– Jeszcze nie.

Odwracam się i patrzę w głąb lasu, jakbym mogła dostrzec przez drzewa kogoś, kto się tam ukrywa.

Nie Rhysa.

Nie Charlotte.

Tylko Jego.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że naprawdę tam jest. W cieniu, jak dawniej, z bronią na ramieniu, z tym spojrzeniem, które znało każdą moją ranę. Ale to tylko wiatr i ja.

Telefon dzwoni dokładnie w momencie, w którym zmęczenie zaczyna dopadać mnie z siłą pijanego ochroniarza po bankiecie. Odbieram bez patrzenia na ekran.

– Kochanie? – rozlega się w słuchawce głos tak słodki, że aż chce się sprawdzić, czy przypadkiem nie oblepia mnie lukrem.

– Mamo – wzdycham, przysięgając w duchu, że jeśli powie, że znowu potrzebuje pomocy z aplikacją do robienia kolaży, rozłączę się bez wyrzutów sumienia.

– Chciałam tylko zapytać, czy twoim zdaniem ten odcień czerwieni to bardziej truskawkowy czy poziomkowy?

Zawieszam się na chwilę.

– Co?

– Sukienka, skarbie – mówi z irytującą cierpliwością, jakbym była tą nieznośną, nieogarniętą córką, a nie princepsem na wojnie. – Zamówiłam trzy opcje na bal fundacji i muszę wiedzieć, który kolor wygląda bardziej „sugestywnie, ale bez desperacji”. Rozumiesz, o czym mówię, prawda?

- Nie, ale udawajmy, że tak.
- Victoria... – jęczy przeciągle. – To ważne. Ojciec nie powie mi prawdy, a Lotta ma gust, jakby ubierała się w ciemności.
- Charlotta jest w niewoli, mamó.
- Dlatego nie mogę jej o to zapytać, prawda? Więc widzisz, z jakimi problemami muszę się mierzyć?

Zaciskam zęby, a Travis zerka na mnie ukradkiem z miejsca pasażera, ale mądrze milczy.

- Mamó, jestem w drodze powrotnej z misji zwiadowczej. Rhys przejął Zachód, prawdopodobnie robi sobie z niego podziemne królestwo, znalazłam notatnik z potencjalną wiadomością od Charlotty, która może być przynętą, a ja... Jestem zmęczona. Bardzo.

Cisza po drugiej stronie jest zbyt długa jak na moją matkę.

- A więc truskawkowy – kwituje w końcu. – Dobrze, że mamy to ustalone.

Parskam, mimo woli. Nie da się z nią wygrać. Ona gra w zupełnie inną grę, gdzie pionkami są perfumy, a planszą karta American Express.

- Jeszcze jedno – dodaje. – Zamówiłam ci suknię na kolację ambasadorską. Z dekoltem, ale gustownym. Wiem, że lubisz udawać, że jesteś wojowniczką, ale czasem trzeba też wyglądać jak ktoś, kto potrafi dobrze leżeć na dywanie dyplomatycznym.

- Jeśli to będzie tiul, przysięgam...
- Jedwab. Ciemny granat. Do twoich oczu będzie pasował, więc zaufaj matce.
- Tylko dlatego, że nie mam siły się z tobą kłócić.
- I dlatego mnie kochasz. Do zobaczenia na kolacji, skarbie. Nie zapomnij błyszczyka.

Rozłącza się, zanim zdążę przypomnieć jej, że najprawdopodobniej do tej kolacji dojdzie tylko wtedy, jeśli wcześniej nie zgine w zasadzce, ale w gruncie rzeczy... to było mi potrzebne. Pięć minut oderwania się od wojny, od krwi, od szukania śladów bliskich, którzy mogą już nie istnieć.

Siedzimy już w samochodzie, silnik cicho wibruje pod dłońmi, a powietrze w kabinie ma ten specyficzny ciężar, który zostaje po zbyt wielu niedopowiedzeniach i zbyt małej ilości pewności.

Trzymam notatnik Charlotty na kolanach, jakby mógł się rozpaść, jeśli tylko odwrócę od niego wzrok, ale prawda jest taka, że to nie papier mnie przeraża, tylko to, co mogłoby być jego konsekwencją. Travis nic nie mówi, co w jego przypadku znaczy więcej niż najdłuższy monolog. On wie, kiedy zostawić mnie z moimi myślami, choć jestem pewna, że sam też ma ich teraz bardzo wiele.

Już mamy przekroczyć granicę, już szykuję się na powrót do Kręgu, na kolejną dyskusję ze Starszą, na kolejne spojrzenia ojca, który za każdym razem, kiedy mnie widzi, jakby liczył moje dni u władzy... Ale wtedy jego telefon wibruje.

Krótko, tylko raz. Nie dźwięczy, tylko pulsuje – jakby to wiadomość była czymś żywym, jakimś dodatkowym sercem bijącym w zbyt cichym aucie.

Travis sięga po niego niemal odruchowo, ale gdy czyta, jego twarz się zmienia. Po prostu... inaczej trzyma szczękę, a palce, które zawsze są opanowane, teraz lekko drżą na krawędzi ekranu.

– Co? – pytam, zanim zdążę się powstrzymać i słyszę, jak moje własne serce zmienia rytm. – Travis?

Zamyka wiadomość i unosi na mnie wzrok.

– Mam kontakt – mówi krótko. – Jeden z ludzi, których zostawiłem w terenie, pisze, że pojawił się sygnał na granicy Zachodu i Południa. To zaledwie dziesięć kilometrów stąd. Coś, czego wcześniej nie było. Ktoś zostawił otwarty punkt sygnałowy i zniknął.

– Ufasz temu człowiekowi?

– Tak – mówi bez wahania. – Gdyby nie on, Colton nie przeżyłby jednego z pierwszych miesięcy po odejściu. Nie ma powodu, by teraz coś ugrać.

Patrzę przez szybę. Las wydaje się jeszcze bardziej nieruchomy niż wcześniej, jakby wszystko zatrzymało się w oczekiwaniu, co

zdecydujemy, a ja wiem, że nie mam w sobie zgody na to, żeby wracać teraz, zostawiając choćby cień szansy.

– Pojedźmy – mówię cicho, ale bez wahania. – Nie wrócimy, dopóki nie sprawdzimy każdego skrawka ziemi, który może dać mi siostrę, albo...cokolwiek po niej.

Travis kiwa głową, a potem przyspiesza, skręcając w lewo. I znów wchodzimy w ciemność, która nie czeka, żeby nas połknąć. Ona po prostu... otwiera się coraz szerzej.

Zatrzymujemy się na tyłach budynku, którego architektura przypomina martwy sen. Bryła pozbawiona jakiejkolwiek symetrii, z wybitymi szybami i ścianami pokrytymi czarnym porostem, jakby sama natura chciała go wchłonąć, unicestwić, zapomnieć. Nie ma tu żadnych oznaczeń, żadnego śladu, że kiedykolwiek ktoś go ubezpieczał, chronił, nazywał własnością, a jednak coś w tym miejscu budzi pod skórą drżenie, które nie pochodzi z lęku, tylko z przeczucia, że właśnie przekraczamy granicę, której nie da się już cofnąć.

Travis omija zardzewiałą kratę, a ja podążam za nim, wsuwając dłoń pod płaszcz i zaciskając palce na rękojeści broni. Nie dlatego, że spodziewam się natychmiastowego zagrożenia, ale dlatego, że w takich miejscach nawet cisza może zabić. Nie próbujemy wejść tradycyjnie przez drzwi – nie tu, nie teraz. Wybieramy wybite okno w bocznym skrzydle, którego resztki szkła już dawno zostały wypłukane przez deszcz i czas.

W środku wita nas chłód – nie ten fizyczny, który można zignorować, tylko ten głębszy, który wciska się między żebra, oplata kręgosłup i sprawia, że ciało samo napina mięśnie, jakby próbowało odgrodzić się od rzeczywistości. Podłoga pokryta jest warstwą wilgoci, odłamków plastiku i zaschniętego błota. Powietrze pachnie czymś medycznym, czymś rozkładającym się, czymś

jeszcze nienazwanym, jak laboratorium, które zostało zamknięte w połowie pracy.

Wchodzimy korytarzem w dół – głęboko, zbyt głęboko jak na zwykły budynek. Mijamy puste sale, łóżka bez materacy, haki wbite w ściany, które kiedyś mogły trzymać sprzęt, a teraz trzymają tylko wyobrażenie o tym, do czego mogły służyć.

Światło nie działa, ale w jednej z sal, tej najgłębiej położonej, świeci się pojedyncza, przemęczona lampa. Żarówka drga delikatnie, jakby jeszcze zastanawiała się, czy ma siłę oświetlić to, co ktoś zostawił pod nią.

Travis unosi dłoń w ostrzegawczym geście, a ja kiwam głową. Wyciągamy broń jednocześnie, bez słowa, zsynchronizowani jak w treningu, którego nikt nas wspólnie nie uczył, ale który powstał z konieczności – z bycia w tym samym piekle zbyt długo.

Wchodzimy do środka. Stół stoi dokładnie na środku pomieszczenia, jakby ktoś chciał mieć pewność, że niezależnie od tego, kto tu wejdzie i z której strony spojrzy, to właśnie ten widok uderzy go jako pierwszy. Nie ma krwi na podłodze, nie ma też śladów walki ani żadnych dokumentów, żadnych kartek, które mogłyby podpowiedzieć, co się tu wydarzyło. Jest tylko ciało, które leży nieruchomo, rozciągnięte jak eksponat, nagie, wychudzone, porażająco bezbronne.

Na pierwszy rzut oka – człowiek, ale im dłużej patrzę, tym bardziej nie jestem pewna, co tak naprawdę mam przed sobą. Niektóre cięcia są precyzyjne, tak równe, że mogłabym pomyśleć o profesjonalnej sekcji, ale inne... są głębokie, brutalne, porwane, jakby ktoś robił coś na siłę, na szybko, bez planu albo z desperacją.

Oczy wpatrują się w przestrzeń, mętne, nieobecne.

Travis zatrzymuje się kilka kroków za mną. Nie pyta ani nie komentuje. Czuję, jak jego oddech się splyca, ale nie dlatego, że się boi. Po prostu nie wie, co widzi przed sobą. Tak samo jak ja.

Nie ma żadnych zapisów, nie ma notatek. Nie ma nic, co wskazywałoby na to, że ktoś chciał coś przekazać, a jednak wszystko tu

wygląda, jakby zostało w nagłym momencie przerwane. Nie mam pojęcia, czy ktoś się spieszył, albo coś go przestraszyło, zmusiło do ucieczki w połowie działania.

Zostajemy z tym obrazem sami bez odpowiedzi i właśnie w tej niewiedzy jest coś o wiele gorszego niż we wszystkim, co już widziałam. Zamykam oczy na moment, nie żeby się odciąć, ale żeby zobaczyć lepiej. Nie przez oczy tylko przez to, co zostaje głębiej, pod skórą, w żołądku, tam, gdzie osadza się przecucie, które nigdy się nie myli.

Nie potrafię tego nazwać. Nie mam słów, które byłyby adekwatne do tego, co czuję, ale wiem jedno: tego ciała nie powinno tu być.

– Victoria. – Głos Tralisa brzmi cicho, jakby wypowiedzenie mojego imienia miało mnie zmaterjalizować w całości, postawić do pionu, przywrócić z tej ciszy.

– Wiem – odpowiadam równie cicho. – Nie powinno nas tu być, to nie jest normalne.

Tu coś... się zaczęło, ale nikt nie wie, co.

I może nigdy nie powinniśmy się dowiedzieć.

Już mamy ruszyć z powrotem, już prawie zamykam drzwi do tej sali, zostawiając ciało za sobą – to nienazwane, porzucone coś, które nie daje mi spokoju – gdy z głębi korytarza, z kierunku, który dotąd wydawał się pusty, dobiega nagły, suchy dźwięk. Nie echo, nie odgłos upadającego przedmiotu, ale coś bardziej... niepokojącego.

To ten rodzaj brzęku, który nie ma prawa się wydarzyć w opuszczonym budynku, który w teorii nie żyje, który miał umrzeć z chwili, gdy ostatni cień wyszedł przez zbutwiałe drzwi.

Nasłuchujemy oboje. Travis, który zazwyczaj nie potrzebuje słów, pierwszy się prostuje, jakby całe jego ciało instynktownie wyczuło zagrożenie, którego wcześniej tu nie było. Ja również wstrzymuję oddech, dłoni niemal automatycznie zaciska się mocniej na broni, a palce drżą lekko z napięcia, które wnika pod skórę, rozciąga się w karku, gnieździ między łopatkami.

– Słyszałeś to? – pytam cicho, choć wiem, że tak.

– Tak – odpowiada, jeszcze ciszej. – I to było zdecydowanie zbyt blisko.

Ruszamy w tamtą stronę krok po kroku, płynnie, zsynchronizowani, jakbyśmy ćwiczyli to wcześniej. Tętno słyszę aż w skroniach. Korytarz po lewej jest węższy, duszniejszy, a ściany zdają się zamykać za nami. Po kilku metrach dostrzegam drzwi, a przyciemnione światło przedziera się spod nich, migocząc niestabilnie.

Coś uderza od środka. Regularnie. Tępo. Cicho. Jednostajny rytm narasta, z każdym uderzeniem staje się bardziej agresywny.

Travis staje z lewej, a ja z prawej.

Policzę do trzech. Otworzę drzwi. On wejdzie pierwszy, a ja będę go osłaniać. Znamy ten schemat.

Rzucam mu pojedyncze porozumiewawcze spojrzenie i zaczynam odliczanie.

Raz. Dwa. Trzy.

Drzwi otwierają się z oporem. Wchodzimy do środka. Na pierwszy rzut oka nie widać żywej duszy

Nagle z cienia wyłania się postać wysokiego mężczyzny, ale co przykuwa moją uwagę, to jego oczy – są puste. Nie ze strachu ani z bólu. Jego szare oczy są puste jak lustro. Znam to zjawisko. Dusza została wypalona, a w jej miejsce włożono jedynie funkcję: przetrwać i zabić.

Rzuca się na Travisa z siłą, której się nie spodziewałam – nie przy tej posturze, nie przy tym poziomie wyniszczenia ciała. Walka jest szarpana, brudna, fizyczna, bez stylu – czysta siła kontra technika.

Strzelam. Najpierw w bark, potem w nogę, próbując go zatrzymać bez śmiertelnego ciosu, bo jeszcze nam się przyda, ale to nic nie daje. On się nie zatrzymuje i nie reaguje na ból.

Jasna cholera!

Travis wytrąca mu równowagę, rzucając go na ścianę, ale nawet wtedy, to coś wstaje zbyt szybko.

Oddaję kolejny strzał – precyzyjny, w sam środek czoła, a to coś upada z głuchym dźwiękiem na posadzkę. W sali zapada cisza przerywana jedynie naszymi oddechami. Patrzę na ciało, a potem na oczy, które nadal są otwarte. Na dłoń, która zaciska się mimowolnie. To nie była walka z człowiekiem. To było coś... zaprogramowanego, tylko jeszcze nie wiemy przez kogo i w jakim celu.

– I co teraz? – Travis pierwszy przerywa milczenie.

Nie odpowiadam od razu. Schylam się i zabieram coś, co przypomina resztkę materiału ze spodni postaci – oznaczenie, które nie pasuje do żadnej frakcji, żadnego znaku, niczego, co znam. Nie ma nigdzie dokumentów ani sprzętu.

Nic tutaj nie ma sensu.

Jest tylko... ta niepewność.

– Nie wiem – mówię w końcu. – Ale to, co tu się dzieje... to nie jest coś, o czym chcę mówić Starszyźnie. Jeszcze nie.

– Nie ufasz im? – pyta.

Nie wiem, czy to pytanie o Radę, o ojca, o kogokolwiek z naszej strony. Spoglądam na niego, będąc szczerą jak zakonnica na spowiedzi.

– Nie wiem już, komu powinniśmy ufać.